

Rodzinna Eurameryka

Wraz z drugą prezydenturą Trumpa, mamy do czynienia z rozpoczynającą się kolejną falą antyamerykanizmu, która zapewne już za chwilę zaleje Europę. Zaś usztywnione ramy, w jakich toczy się tzw. „wojna kulturowa”, już sprawiają, że nienawiść do Ameryki staje się kluczowym elementem europejskiego pakietu wartości, jaki uznawać musi każdy postępowy Europejczyk.

Jakiś czas temu przypadkowo wpadłem na konspekt wykładu o antyamerykanizmie, jaki Hannah Arendt wygłosiła w 1954 roku na Uniwersytecie Princeton (nie wiem, czy ów tekst został kiedykolwiek opublikowany *in extenso*). Arendt opowiada amerykańskim studentom o czarnym wizerunku USA, jaki zdominował wyobraźnię Zachodnich Europejczyków, i to zaraz po tym, jak Amerykanie, kosztem niezliczonych ofiar, uwolnili tę część Europy od totalitarnego barbarzyństwa. W tym czarnym wizerunku Ameryka przedstawiać miałyby sobą mroczną stronę nowoczesności: egoistyczny indywidualizm i utratę wspólnotowych walorów życia, społeczny konformizm i kult pieniądza, destrukcyjną siłę nowych technologii, a nade wszystko skłonność do imperialnej hegemonii dyktowanej interesami ekonomicznymi. Tymczasem wedle Arendt – zachodnioeuropejska elita wyobraża sobie, iż powojenna Europa stała się właśnie wobec historycznej szansy budowy „jasnej nowoczesności”, która miałyby być przeciwieństwem tego, czym jest „amerykańskość”. Arendt rozsądnie argumentuje, iż owa czarna wizja Ameryki jest w gruncie rzeczy zachodnioeuropejską projekcją, gdyż więcej mówi o starym resentymencie i nowych powojennych obawach Europejczyków, niżli o samej Ameryce. Aczkolwiek formułuje także

przestrożę, wedle której Europejczycy widzą jako zło Ameryki to, co naprawdę zagraża nie tylko Europie i Ameryce, ale całemu nowoczesnemu światu. Znając dzisiejszy świat, dobrze wiemy, że Arendt nie bez racji próbowała w tamtym czasie zuniwersalizować sens partykularnego zjawiska zachodnioeuropejskiego antyamerykanizmu.

Ale najciekawszą rzeczą w tym wykładzie zdała mi się analiza funkcji, jaką antyamerykanizm pełnił w polityce powojennej Europy; mam bowiem wrażenie, że w tym punkcie diagnoza Arendt wykazuje nadzwyczajną myślową przenikliwość. Przypomnijmy: jest rok 1954, a więc krótko po powołaniu transatlantyckiego NATO i jeszcze parę lat przed zawarciem traktatów rzymskich, tworzących EWG. Tymczasem Arendt widzi złe symptomy tworzenia się zrębów „paneuropejskiego nacjonalizmu”, którego główną sprężyną ideową jest europejskie pragnienie emancypacji spod wpływów zwycięskiej Ameryki. Po ciężkich urazach, jakie przyniosła II wojna światowa, narodów europejskich nie łączy ani wspólnota historycznego losu, ani jedność doświadczeń wojennego pokolenia, ani tym bardziej – jakiegoś poczucie ponadnarodowej tożsamości. Przeciwnie, narody te długo jeszcze muszą się wydobywać z traumy nienawiści. Gdyby więc nie narastająca od zakończenia wojny awersja do Ameryki, to nie istniałaby w ogóle ideowa sprężyna popychająca Zachodnią Europę do integracji. „Jeśli jest prawdą – mówi Arendt – że każdy nacjonalizm zaczyna się od prawdziwego lub wymyślnego wspólnego wroga, to początkiem nowego paneuropejskiego nacjonalizmu stanie się obecny obraz Ameryki w Europie. A ponieważ Europa nie jest już skłonna widzieć w Ameryce niczego, z czym wiązałyby nadzieje lub obawy swego własnego rozwoju, ma tendencję, aby traktować ustanowienie europejskiego rządu jako przyszły akt wyzwolenia się od Ameryki”.

Przeszło pół wieku po proroczym wykładzie Hannah Arendt ten sam wątek powróci, w mocno odmienionych okolicznościach, w świetnej książce Andrija Markowitsa – żydowskiego znawcy polityki i profesora w Michigan, wydanej w 2007 roku przez ten sam Uniwersytet Princeton, gdzie niegdyś odbył się wykład Arendt. Książka *Uncouth nation* sumuje badania Markowitsa nad antyamerykanizmem Zachodnich Europejczyków, po tym, jak wraz z Bushem juniorem i wojną w Iraku, przez Europę przewaliła się fala ludowej nienawiści do Ameryki, sterowanej i podjudzanej przez paryskie i berlińskie media oraz polityków. W kulminacyjnym dniu tej fali – 15 lutego 2003 roku swą wrogość wobec Ameryki manifestowało na ulicach coś koło dziesięciu milionów Zachodnich Europejczyków. To wtedy ówczesny najpoważniejszy kandydat do prezydentury Francji – Strauss Kahn napisze na łamach *Le Monde*, że „15 lutego narodził się na ulicach europejski naród”, a czołowi niemieccy intelektualiści – z Habermasem i Derridą na czele – upowszechniać będą w mediach patetyczne manifesty proklamujące koniec epoki dawnych nacjonalizmów i początek nowej ery „europejskiej samoświadomości”. Markowits dochodzi do wniosku, że o ile do roku 2003 antyamerykanizm był dominującą w Europie ideologią elit, o tyle od tamtego czasu stał się faktycznie tożsamościowym rysem ludów europejskich. I po pół wieku potwierdza powojenną intuicję Arendt, iż ów rys stanowi najważniejszy czynnik mobilizacji europejskiej polityki, mającej ambicje dołączyć do Chin, aby „rzucić Ameryce wyzwanie na każdym możliwym polu”. W finale książki Markowits usprawiedliwia się, iż jego badania nie objęły Polski, ani innych wschodnich członków Unii. Pisze: „Zdecydowanie pozytywne poglądy Europejczyków Wschodnich na temat Ameryki wynikają z postrzegania USA jako jedyne go sojusznika przeciwko pogardzanemu Związkowi Sowieckiemu”. Nie dziwota, że przy założeniu *a priori* tak jednoczynnikowej i uproszczonej zależności, Polska i reszta Europy Środkowej nie stanowiły dla Markowitsa ciekawego obszaru badań.

Ale Markowits chyba zbyt pochopnie zlekceważył w tamtym czasie kwestię polskiego antyamerykanizmu. Oczywiście, wtedy gdy pisał swą książkę, Wojsko Polskie wspierało Amerykanów w Iraku, a premier Miller inicjował sławny proamerykański „list ośmiu”, w którym apelowano o niepodważanie wiodącej roli USA w świecie. Ale antyamerykańskie pęknięcie polskiej opinii publicznej już się wtedy zaczęło. Pamiętam, jak krótko potem zaczynałem kurs dla studentów na temat polityki zagranicznej odrodzonej Polski i z nadmiernej (jak dziś sędzę) gorliwości przeglądałem wówczas bodaj wszystkie akademickie podręczniki i skrypty na ten temat. Jakież było moje zdumienie, gdy odkryłem, że niemal wszystkie aż ociekają emocjonalną wrogością wobec polityki prowadzonej naoczas przez państwo polskie, właśnie z powodu uznawania przez kolejne rządy, z lewicowym gabinetem Millera na czele, prymatu Ameryki w formułowaniu celów politycznych całego Zachodu. Dziwiłem się, iż nikt z autorów owych skryptów i podręczników nie był w stanie dostrzec w tym prymacie tak oczywistej dla mnie historycznej szansy na odbudowę podmiotowości Polski w jej relacjach międzynarodowych, zwłaszcza w Europie.

I teraz mam nieodparte wrażenie, że wraz z drugą prezydenturą Trumpa, mamy do czynienia z rozpoczynającą się kolejną falą antyamerykanizmu, która zapewne już za chwilę zaleje Europę. Zaś usztywnione ramy, w jakich toczy się tzw. „wojna kulturowa”, już sprawiają, że nienawiść do Ameryki staje się kluczowym elementem europejskiego pakietu wartości, jaki uznawać musi każdy postępowy Europejczyk. Właśnie z tej przyczyny, że antytrumpizm jest w Polsce (może nawet mocniej niżli np. w takiej Francji) integralną częścią owego pakietu, spodziewam się pierwszej, tak silnej od czasu II wojny światowej, fali rodzimego polskiego antyamerykanizmu. I tak jak oceniał to swego czasu Markowits, nie będzie to już tylko ideologia postępowych elit, ale prawdziwa namiętność gminna, zintegrowana z nienawiścią do tzw. „neosędziów”, albo pogardą dla katolicyzmu. Ze

swoistym manifestem tego nowego, rodzimego antyamerykanizmu wystąpił niedawno polski europoseł, skądinąd jeden z najbardziej zaufanych ludzi premiera Tuska. Mało kto zwrócił uwagę, iż ów polityk jako pierwszy posłużył się zarzutem proamerykańskości, jako argumentem na rzecz zdradzieckiej natury polskiej prawicy. „Wy jesteście partią Trumpa i Muska w Unii Europejskiej” – mówił w Parlamencie Europejskim. „Wczoraj owacyjnie klaskaliście Trumpowi i nie przeszkadza wam, że ten prezydent Stanów Zjednoczonych zapowiedział wojnę handlową niszczącą gospodarkę Unii Europejskiej. Dziś bronicie amerykańskich platform internetowych i nie przeszkadza wam, że ich algorytmy będą częścią amerykańskiej, technologicznej agresji wobec Europy”. Nigdy wcześniej proamerykańskość nie mogła być w Polsce podstawą do postawienia zarzutu zdrady. Tyle że teraz jest to zdrada Europy, traktowana jako samo sedno zdrady ojczyzny.

Prawdę mówiąc, rzecz wydaje mi się kluczowa nie tylko dla rozumienia tego, czym jest dzisiaj patriotyczna polska polityka, ale jeszcze bardziej dla odczytania współczesnego sensu polskiej tożsamości. W warstwie myślowej dylemat ani nie jest zbyt zawiły, ani specyficznie polski, ani też nieznanym z europejskiej historii idei. O naszą polityczną duszę rywalizują po prostu nie od dziś dwa sprzeczne uniwersalizmy. Pierwszy – staroeuropejski, nazwany niegdyś przez Arendt „paneuropejskim nacjonalizmem”, podszyty jest tak dobrze znanym resentymentem do Ameryki i skrywanym strachem przed naporem mrocznej strony nowoczesności, której demonem stała się współcześnie złowieszczą figura technologicznego geniusza Elona Muska. Ameryka jawi się tu, jako groźny i zdegenerowany parweniusz, co do którego jeszcze sławny encyklopedysta hrabia de Buffon ostrzegwał w XVIII wieku, iż degenerują się tam nie tylko ludzie przybywający z Europy, ale nawet przywożone przez nich zwierzęta. Ze szczególną namiętnością nienawidził jej Friedrich Nietzsche – konstruktor ostro antychrześcijańskiej wizji „Europejczyka przyszłości”, a w Ameryce upatrujący wcielenie piekła

nowoczesności, które niczym jakieś mroczne fatum zmiecie któregoś dnia tę ukochaną przez niego „duszę Europy, jednej Europy, tęskniącej, przedzierającej się, próbującej się wyrwać”.

Alternatywny uniwersalizm nie jest miotany takimi namiętnościami, gdyż jest po prostu okcydentalny, a jego wielkim pionierem w zachodniej tradycji myślowej jest Alexis de Tocqueville, nie przypadkiem w Polsce jeszcze do niedawna czczony i podziwiany, a chyba najmocniej w końcu ubiegłego wieku, gdy geopolityczny „atlantyzm” wydawał się być najoczywistszym polskim wyborem na przyszłość. Tocqueville, który nie miał wprawdzie wątpliwości, iż Ameryka jest i pozostanie symbolem cywilizacyjnej nowoczesności, wraz ze wszystkimi jej jasnymi i mrocznymi stronami, ale który – tak samo jak sto lat później Arendt – wierzył, że właśnie taka Ameryka zawsze była projektem *par excellence* europejskim, wyprzedzającym co prawda Stary Kontynent, ale zarazem wpisanym we wspólną historię i wspólną przyszłość. W tej walce o naszą duszę, toczoną przez dwa alternatywne uniwersalizmy – ten tocquevillowski i ten nietzscheański – w ostatecznym rozrachunku idzie o naszą, również polską tożsamość. Czy politycznie sami siebie rozumiemy jako Europejczyków, czy też raczej jako ludzi Zachodu? I czy „Rodzinna Eurameryka” jest również naszą polską drugą ojczyzną?

Jan Rokita

fot. Alex Kuhn/ArtService/FORUM